

WYSPA SZCZĘŚLIWYCH DZIECI

Szaleństwo czy rejs życia? **KAZIMIERZ LUDWIŃSKI** zabrał swoje dzieci: 7-miesięcznego **NOEGO** i 6-letnią **NEL** w kilkuletnią podróż. Pokazał im miejsca, które ich rówieśnicy podziwiają jedynie na zdjęciach w Internecie. Czego im brakowało wtedy, a za czym tęsknią teraz – na lądzie?

ROZMAWIA **KRZYSZTOF BOCZEK**

Podróż na rodzinnym katamaranie „Wyspa Szczęśliwych Dzieci” rozpoczęli w 2004 roku. Z czasem rejs przerodził się w 9-letnią wyprawę, w trakcie której opłynęli cały świat. Zobaczyli miejsca, o jakich im się nie śniło, i poznali szkołę życia, jakiej nie da im żadna placówka na lądzie. A przy tym wiele się nauczyli. Kazimierz Ludwiński i jego dwójka dzieci, Noe i Nel (mama, Anna, towarzyszyła im tylko przez fragment podróży), na festiwalu podróżników, żeglarzy i alpinistów Kolosy 2013 otrzymali nagrodę główną w kategorii „Podróże”. Za pokazanie, że proces wychowawczy nie musi się wiązać z rygorami życia na lądzie. W zeszłym roku Ludwińscy osiedli na stałym lądzie, w Szczecinie. Na razie...

Jak zrodził się pomysł, by popłynąć z małymi dziećmi w rejs aż na 9 lat?

Kazimierz: Najpierw planowałem tylko 3-letni rejs – na tyle byłem przygotowany finansowo. Chcieliśmy przepłynąć przez Atlantyk, a potem zdecydować, co dalej. No i z tego zrobiło się aż 9 lat – nauczyliśmy się, jak żyć na jachcie, by nie wydawać dużo pieniędzy.

A dlaczego w ogóle wypłynęliście?

Kazimierz: Przez kilkanaście lat pływałem z braćmi katamaranem po świecie, żyłem i pracowałem w Afryce, Ameryce Południowej. I chciałem pokazać dzieciom ten mój styl życia. Pasję. Tak naprawdę pobyt

na lądzie w Polsce był tylko przystankiem w moim życiu – w 1997 roku urodziła się Nel, więc częściowo osiadłem w kraju, ale ciągle jeździłem do Afryki. Nel także, od kiedy skończyła 1,5 roku. W kraju ciągle chorowała na anginy, a w tropikach nie.

Przede wszystkim jednak chciałem być z moimi dziećmi, wychowywać je, łącząc to z pasją. Żeglując, podróżując, zmieniając krajobrazy i miejsca, scenariusz ciekawego życia tworzy się sam. Podróż to więcej bodźców i szersze horyzonty, w ten sposób otwierasz dzieci na świat. Zanim podjąłem tę decyzję, poznałem wiele maluchów wychowywanych gdzieś w buszu czy na jachtach. Ich horyzonty są bardzo szerokie. Matka Nel >

**Nuda? W życiu!**

Według Kazimierza Ludwińskiego jachtowe dzieciaki mają więcej obowiązków niż lądowe, więc nigdy się nie nudzą

i Noe, która przez te 9 lat spędziła z nami 1,5 roku, także lubiła podróże, więc jej nie musiałem namawiać.

Nel, gdy płynęliście przez Atlantyk i wzdłuż Ameryki Południowej, zaczęła szkołę korespondencyjną.**Jak to wygląda?**

Nel: Najpierw uczyłam się po francusku w wiejskiej szkółce w Senegalu, jako jedyne europejskie dziecko. Po trzech miesiącach przerwałam, bo nie chciałam dalej być maskotką. Pierwsze trzy klasy po polsku przerabiałam z tatą – codziennie odrabialiśmy lekcje, jeśli staliśmy na kotwiczowisku, a podczas żeglowania – tylko jeśli była bardzo dobra pogoda i warunki. Potem uczyłam się coraz więcej sama z książek. Kilka razy w roku musiałam pisać prace kontrolne – wysyłałyśmy wypełnione arkusze do Polski. I co dwa lata stawałam się na egzamin w kraju. Na Oceanii zdawałam go przez połączenie wideokonferencyjne. Przez pół roku chodziłam też do szkoły australijskiej.

A żeglowania gdzie się nauczyłaś?

Nel: Stopniowo, w ciągu całego rejsu, etapami.

Kazimierz: Nie było lepszego pomocnika podczas sztormu. Stawała za kołem sterowym, wiedziała, który sznurzek poluzować, a który pociągnąć. Podczas ogromnego sztormu przy wybrzeżu Kolumbii na dużej fali pękły zawiasy steru. Nel sama podniosła sto kilkadziesiąt kilo na kabestanie (rodzaj kołowrotu – przyp. red.). Nawet gdy była mała, sterowała „Wyspą”, kiedy tylko stawialiśmy lub podnosiliśmy kotwicę.

Te 9 lat obfitowało pewnie w wiele przygód. Jakie wydarzenie utkwiło wam najsilniej w pamięci?

Nel: Ja szczególnie pamiętam nurkowanie z ogromnymi mantami na Polinezji Francuskiej, na wyspach Tuamotu. Nie było widać dna, a wokół nas krążyły w wodzie te wielkie, kilkumetrowe bestie. Widziałam ich co najmniej pięć. Zawsze kiedy płynęły z nami delfiny – a działo się to często – to nawet choroba morska nie mogła nas zatrzymać w kojach.

Noe: Ja dobrze będę pamiętał wieczorne głupawki, podczas których ganialiśmy się dookoła katamaranu, biegając po siatce rozciągniętej między dziobami.

A dla ciebie, Kazik?

Kazimierz: Gdy po 1,5 roku pływania ich mama odleciała do Europy i zostałem sam z dwójką małych dzieci, to z jednej strony poczułem wolność i radość, bo byliśmy już wtedy w separacji z Anną, a według pierwotnego planu chciała zabrać dzieci do Polski. Ale zostały na „Wyspie”. Z drugiej strony pojawiła się gigantyczna odpowiedzialność. Od tego momentu miałem dwójkę dzieci i cały jacht na głowie. I musiałem udowodnić, także sobie, że zasługuję na to zaufanie. Te wszystkie złowione kilkudziesięcio- i ponadstukilowe tuńczyki, żaglice, mijające nas wieloryby, stada delfinów czy pływanie z płaszczkami – to też były fajne przygody.

Na festiwalu podróżników Kolosy w Gdyni mówię, że dzieci ani razu na jachcie nie powiedziały: „tato, nudzę się”.

Kazimierz: Dzieciaki jachtowe mają więcej obowiązków niż te lądowe, więc się nie nudzą.

Nel: Gdy koleżanki do mnie dzwonią i mówią: „Idziesz ze mną na dwór, bo mi się nudzi?”, to się wtedy śmieję. Bo ja zawsze znajduję sobie coś do roboty. Na „Wyspie” gotowałam, sprzątałam kajuty, odrabiałam lekcje, sterowałam. Podróż nauczyła mnie organizowania sobie czasu: wiem, że jeśli wykonam swoje obowiązki, to będę mogła poświęcić czas na oglądanie filmów czy czytanie książki.

Filmy, książki, jak jeszcze spędzaliście czas wolny?

Nel: Jeśli była ładna pogoda, to wskakiwaliśmy do wody, zamiast siedzieć przed komputerem. Jeżeli byliśmy na kotwiczowisku, a na innych jachtach były jakieś dzieci – obojętnie, starsze czy młodsze, chłopak czy dziewczyna – to bawiliśmy się z nimi na plaży, nurkując na rafie koralowej lub pływając na kajakach.

O co jesteście bogatsi w stosunku do swoich rówieśników, dzięki temu, że tyle czasu żeglowaliście?

Nel: Przede wszystkim języki obce: angielski, francuski. Z moich znajomych nikt nie mówi po francusku, a na angielskim koledzy często mnie szturchają i pytają: „O czym nauczycielka mówi?”

Kazimierz: Na początku podróży dzieciaki dosyć dobrze też radziły sobie z hiszpańskim i portugalskim. Ale potem na Pacyfiku i Oceanie Indyjskim nie używaliśmy tych języków, więc je trochę zapomniały.

A oprócz języków?

Nel: Na lekcjach geografii się nudzę. Kiedy pani mówi o tym, gdzie jest jakaś wyspa, rzeka czy miasto, albo opowiada o passatach czy prądach morskich, to ja to wszystko już wiem. Bo tata nam to już objaśniał. Koledzy muszą się tych informacji uczyć na pamięć.

Kazimierz: Ja bym dodał jeszcze dwie cechy: logikę i konsekwencję. Kiedyś kolega, Amerykanin, radził się, jak zrobić coś tam przy jachcie. Mała Nel przysłuchiwała się naszej rozmowie i nagle mówi do niego: „Bruno, czemu nie użyjesz sika flexu? Odtuszcz primerem, przyklejasz i masz z głowy”. Bruno zbaraniał. Nel doszła do takich wniosków, bo widziała mnie, kiedy naprawiałem coś na jachcie. Jej logika brzmi: „Gdy cię boli ząb, to nie zastanawiaj się, jak go wyleczyć, tylko dlaczego cię boli. I tu szukaj rozwiązania”.

A ta konsekwencja?

Kazimierz: Zapytaj Noego. On wie, że nie może grać na komputerze dłużej niż godzinę. Ale gdy spojrzę

mi w oczka, to ja mięknię. A Nel nie. „Tato, przecież mówiłeś nam, dlaczego nie można grać zbyt długo...”. Konsekwentnie dąży do celu – czasami ze łzami w oczach, ale go osiąga.

Gdy wróciliście na ląd, do Szczecina, to co było dla was największym szokiem?

Nel: Jesteśmy przyzwyczajeni do zmian, więc pierwsze dni to było coś fantastycznego – na ląd, na dłużej! Fajnie.

Kazimierz: Ale im dłużej tu byliśmy, tym było gorzej. Dzieci zobaczyły hipokryzję tego świata, w którym narzucano im pewien styl życia. Z upływem czasu to zaczynało doskwierać.

Po 10 miesiącach na lądzie czego wam najbardziej brakuje?

Noe: Jachtu. Świeżego powietrza. Wiatru. Widoków. Chyba tylko za chorobą morską nie tęsknię.

Nel: Niezależności. Tam mogłam sama podejmować decyzje, a tutaj narzucają mi je nauczyciele i koleżanki.

Kazimierz: Wolności. Jestem zmuszony żyć wśród zasad, jakie tutaj panują. Przeszkadza mi oszołomstwo i absurdy w polityce, no i cała ta biurokracja. Na morzu prawa są jasne, proste i logiczne. Bo niezłomne – wynikają z praw natury. Boję się tylko, że przyzwyczaję się do tego świata, do naginania się. I przez to zniekształcę siebie. **Is**



RODZINA LUDWIŃSKICH Kazimierz, Anna, Noe i Nel na rodzinnym katamaranie „Wyspa Szczęśliwych Dzieci” w ciągu 9 lat pokonali 45 tys. mil morskich, odwiedzili kilkadziesiąt krajów i kilkadziesiąt wysepek. Mama, Anna, wróciła do kraju po półtora roku pływania